ROK I. NIEDZIELA. 26 CZERWIEC. 1842

Roczniki krytyki literackiéj wychodzą dwa razy w tydzień, we Srodę i w Niedzielę, w objętości dużego pół arkusza. Numerów pięćdziesiąt i dwa, czyli jedno półrocze, stanowić będzie Tom; — dwa Tomy stanowią całość.

Przedpłata roczna wynosi R s. 5, k 40 półroczna R. s. 3, kwartalna R. s. 1 k. 80. — Prenumerować można: W Redakcyi Roczników krytyki literackiéj, przy ulicy Tłomackie Nr. 739 w pałacu dawniéj Ossolińskich, w officynie na 1szém piętrze;

U osób prywatnych które się tem zajmować raczą;

We wszystkich znaczniéjszych księgarniach w kraju i za granicą;

Na Urzędach i Stacjach Pocztowych w królestwie; lecz tam jedynie za przedpłatą roczną lub półroczną.

Szan: Prenumeratorowie w Warszawie mieszkający, na żądanie nadesłane sobie mieć będą Roczniki do mieszkań swoich bez żadnéj nadpłaty. —

№ 49.

ROCZNIKI KRYTYKI LITERACKIEJ.

REDAKTOR GŁÓWNY: FR. HENRYK LEWESTAM.

MORENA

albo Powieści Blade, przez Alexandra Tyszyńskiego. Warszawa, nakładem G. Senewalda. 1842.

Gewöhnlich glaubt der Mensch, wenn er nur Worte hört,
Es müsse sich dabei doch auch was denken lassen.

Fausta Göthego.

Gdy przed niejakim czasem jeden z redaktorów Przeglądu naukowego (*) upewniał publiczność, iż pod prassą wtedy będące *Powieści blade* p. Tyszyńskiego dlatego tylko tak dzikie miano przyjęły, że przecięż i obcy mają *Powieści żółte* (contes jounes), *książki czerwone* (le livre rouge) i t. d., my zrazu takie objaśnienia za niezgrabną tylko uważali satyrę, szczerześmy przytém życzyli, aby się sprawdziło co w dalszym ciągu tego doniesienia utrzymywano, to jest, aby »owe powieści *blade* przez *Słowianofila* utworzone, więcéj posiadały rumieńca, »krasy i kolorytu, niżli mają inne zamiejscowe płody, »szumnemi ochrzczone imionami.« Taki był sąd nasz takie życzenie, pókiśmy z naszego przekonania tych utworów *Słowianoluba* nieznali: dziś, po uważném ich przeczytaniu i po usilném, lecz daremném staraniu przejmowania się niemi, uznajemy zaiste że tytuł (rzecz zwyczajnie tyle obojętna i dowolna) w *Powieściach bladych* wypadkiem był tylko dobrze zrozumianéj skromności autorskiéj. Co do Moreny zaś, która, jak nas autor w przypisku upewnia, Boginię Śmierci u dawnych Słowian oznacza, dobrém jest ona godłem dla małéj książeczki, która zarodki śmierci od samego urodzenia tak widocznie w sobie wykazuje.

Spis pojedynczych rzeczy w Morenie zawartych jest krótki i łatwy do oddania: na samém czele co do objętości i co do porządku stoi *Zaprzaniec*, daléj idzie *Prospera*, a naostatek *Zymio*, raz już w Bibljotece Warszawskiéj przedrukowany. Z większą nierównie trudnością powiedzieć przychodzi, jaka jest *treść* tych rzeczy, jaki cel, jaka dążnosć: tu bowiem i umyślna i pewna mimowolna niezrozumiałość utrudzają, albo raczéj niepodobném czynią wszelkie pojęcie. Aby jednak nie sprowadzić na siebie pozornego podejrzenia, jakoby takowa niezrozumiałość w niedostateczném z naszéj strony rozważaniu całości miała swoją przyczynę przytaczamy niczém nienaruszony wątek tych powieści, o tyle przynajmniéj, o ileśmy go z pod natłoku wyrazów wydobyć i dociec byli w stanie.

Zaprzaniec zaczyna się od *płaczącego zdrojem łez* nieba, od silnych wiatrów i burzy *niedobréj.* Mimo

(*) W numerze 8mym tego pisma.

burzy w otwartém oknie stoi Aryst, artysta malarz, a ulicą, po mokrym bruku idzie człowiek, imieniem Edwin, dla którego *człowiek z okna* nagłą przyjaźń uczuwa. Zchodzi tedy do niego, »a cień nocny był »świadkiem kilku słów na bruku wymiany; wymiany »poprzedzonéj obojętném zbliżeniem, przedzielonéj »grzecznéin skłonieniem zapytanego. — »Przygoda to »pewnie zrządza, żeś panie, tu tak został śród burzy; »przychylniejsza druga, sprawia, żeś postrzeżony; — »masz tu bliski nocleg otwarty.« – »Istotnie, przygo»da zrządza żem tu tak został; — żelazo i twardszy »sen naszych stróżów zamknęły mi ściany; — za twą »uprzejmość, panie, czuć tylko wdzięczność mogę i z »niéj korzystać.« Po takiém przyjęciu tak grzecznych zaprosin tuż przed bramą Edwin zaczyna uciekać; »człowiek z okna gonił ulicę całą, jednak na próżno.« Wraca tedy sam jeden do siebie, a my nie pomału jesteśmy zdziwieni, kiedy na następującéj stronnicy obudwu, goniącego i niedogonionego w najlepszéj zastajemy przyjaźni. Zkąd się Edwin wziął do Arysta? w jaki sposób bliższą po dziwnych wyścigach zabrali znajomość? czyli już dawniéj jakikolwiek między niemi istniał stosunek? oto są pytania, na które odpowiedzieć autor Moreny, za rzecz niepotrzebną uważa, i których my, ze względu na należną dyskretność, daléj rozprowadzać nie zamyślamy. Kontentujmy się miłą pewnością, słodkiém przekonaniem, że Edwin jest u Arysta,—jest zaś trzeci jeszcze u niego Ernest, którego Aryst maluje. Tu zaczyna się głęboka rozmowa o sztuce: powodem téj rozmowy jest zapytanie Ernesta: »co to są rysy wydatne.« Następuje kilka naszpikowanych wyrazami defenicji estetycznych, po których każdy z kolei interlokutor wyznaje, że się »wytłomaczył zbyt ciemno;« lub też »niejasno,« — jedyna uwaga, na którą czytelnik z największą szczerością przystanie. Aby zaś bardziéj jeszcze uwieńczyć podobny odmęt bujnodziwnych wyrażeń, p. Tyszyński takowę rozmową zakończa w sposób następujący: »Edwin przybliżając się krokiem »mniéj pewnym siadł na miejscu Eenesta; patrzył przez »chwilę na licotwórcę Arysta, i głosém nie wesołym a»ni szyderczym rzekł: — Maluj mię! — Aryst oderwał »namaszczony pędzel od płótna, spojrzał na siedzące»go, odłożył na bok robotę i siedząc patrzał. »Ma»luj mię! powtórzył słabszym głosem, jakby niknącym »Edwin. — Edwinie! co ci? — Nic; proszę cię abyś »mię mymalował . . . na kamieniu, przy oknie . . . »wszak tak? . . — Edwinie, twoje oczy się plączą. — »Tak jest, proszę cię byś malował . . . wszak pię»kność. — Twój rumieniec nie jest ze zdrowia. — »Piękność, rzekłeś, to miłość . . . nie . : . piękność »sztuka . . . wszak tak? . . . jakże mi ciepło . . . — »O Edwinie, powiedz mi prawdę? szukając *wzniesie»nia uczuć* przez środek rozrywki, tyś dziś nadużył »rozrywki, tyś *pil*? . . . — Trochę mi słabo . . . tak »jest . . : albo téż raczéj . . . nie . . . ciepło mi; »chciałem rzec: ciemno: . . maluj mię . . . o Aryście »mój . . . słodko — To mówiąc Edwin zasnął.« — Cóż więc powiemy o autorze, który włożywszy w usta swego bohatéra obszerną rozprawę o przedmiocie filozoficznym, nakoniec wielką objawia tajemnicę — że ten bohater był . . . pijany! Czyli-to grzeczność, jaką chciał powiedziéć samemu sobie jako autorowi tych rozpraw, czyli w ogóle filozofji i jéj rozumowaniom? Bądź jak bądź, stoi niezaprzeczone faktum.

Po powyższéj, tak niepoetycznie zakończonéj rozmowie następuje jeszcze kilka ustępów, w których p. Alexander Tyszyński starał się wyświecić charakter Edwina. Nie rozstrzygamy, czyli mu się to udało; przytaczamy tylko dwa z okresów najdobitniéjszych: »Dusza Edwina nie była to w cale dusza z pierwia»stkowych *wątpień* powstała; nie była to dusza tém »więcéj z pierwiastków wprost wiary *zmysłowéj*; rzec »chcemy: w uczuciach swych wprost czysto ziemska; »światom wyższym *bezcielnym* (sic!) obca; dusza Edwina, zdało sie, była owszem niegdyś wprost z sfer »nadziemskich, wprost tym sferom oddana, wnich bu»jająca. — Kroki Edwina obecnie nie były to wcale »wzory; przykłady bezbłędności i cnoty; kroki Edwi»na owszem, patrząc moralnie, czyniły go dziś nie »narzędziem, przedmiotem wezwań jakowych wyższych »lecz straty; a jednak śród tego ciała na kroki te od»danego, widne jeszcze było tło lepszych lotów; bły»skał jeszcze owszem niekiedy dawny popęd, odbicie, »nawet uczucie wiar dawnych.« — Wyznajemy, że po tak górnolotnych opisach dość nas udarzają prozaiczne uwagi, które, jakkolwiek w niejednéj parafrazie, nad swoim bohaterem czyni autor Amerykanki. Dowiadujemy się z tych uwag, że Edwin nie był oddany żadnym zatrudnieniom obowiązkowym, *alias*, że niebył urzędnikiem. Co do innych jego stosunków nie dziwujmy się, że nic o nich nie wiemy: sam bowiem Aryst, sam nawet może autor w błogiéj z tego względu zostawali niewiadomości. Co do zasad moralnych Edwina to tylko wyczytujemy, że raz, »gdy niedzielił Aryst jego zdania co do roz»rzutności i spytał go co uczynić, gdy zbytek ostatnie»go grosza pozbawi? — *Wziąść*, odpowiedział Edwin »spokojnie i uśmiechnął się nie dziko, lecz słodko« Mimo to jednak,« główny powód którym Aryst unie-

»winniał swą przyjaźń był ten: iż miał nadzieję sprawienia w nim zmiany moralnéj.« Na czém się zasadzała ta nadzieja, jak się brał Aryst do sprawdzenia onéjże, i czyli przedsiewzięte kroki robiły jakiekolwiek na Edwinie wrażenie, wszystko to p. Alexander Tyszyński jakby od przypadku zamilcza.

Ze śpieszącym naprzód tokiem powieści pośpieszy téż nasze o niéj sprawozdanie. »Upłynął rok cały przyjaźni »pomiędzy Arystem i Edwinem, przyjaźni o jakiéj rzekliśmy. Nadzieję spostrzeżenia zmiany w duszy Edwina »Aryst stracił. Szedł on bacznie za drogą, za każdym »odcieniem téj duszy i z uczucia przyjaźni, z uczucia »ludzkości martwił się. Nagle jednak promień nadziei »z mniéj spodziewanym blaskiem mu wrócił (się).« Promykiem zaś téj nadziei była objawiona w sercu Edwina chęć ustalenia losu przez związki małżenskie. Za tak pięknym ubiegając się celem szuka po całéj Warszawie, aż nareszcie przeznaczoną dla siebie istotę znajduje w pewném miéjscu, do którego go zwabił »gorejący w »przezroczu napis« (kawa, poncz i herbata). Ludwinia była kawiarką, ale lepszego gatunku: Ludwinia zna swoją wartość. Jedną zpierwszych scen, jakiéj był świadkiem Edwin w kawiarni, jest przybycie »postaci męzkiéj, »w pół staréj, w zaniedbanym wytartym stroju, rysów »nierównych, ostrych lica uszpeconego trunkiem »skroszczeniem; nosa barwy czerwonéj pół twarzy zajmującego.« Ta obrzydliwa postać bierze się do umizgów: Ludwinia się opiera, póki stary opętaniec nie wyciągnąwszy sakiewki z kieszeni nie rzecze do niéj: »Za »każde uściśnienie twych ustek masz jedną z tych sztu»czek,« a Ludwinia z uśmiechem szczęścia wdzięcząc się do niego podaje buzię i mówi: »Całuj Pan!« — Było to zbyt wiele dla łaknącego serca Edwina; widząc takie poświęcenie się Ludwini za złoto, daje folgę rozdrażnionym uczuciom, porzuca Amelkę, niewiemy czyli także kawiarkę, ale dość na tém że piérwszą kochankę, i żeni się z drugą. Po takiém zopesleniu swego bohatera z dziewicą w przezroczu, autor sprowadza ich w aleje na letnie mieszkanie; ale niezadługo znudził się Edwin niestały; ucieka, rozgłaszając wieść że sam sobie życie odebrał, nareszcie pisze list do przyjaciół, wraca do Arysta całkiem pijaństwu oddany i zastaje go »w jednym z domów Nowego-Świata w pokoju »od ulicy« z szczęśliwą małżonką — Amelką. Tu następuje najprzód scena opilstwa, potém scena poznania; przytaczamy tu jeszcze przykład, w jaki to sposób p. Alexander Tyszyński wyraża przyjacielską tkliwość Arysta. — »Może łakniesz? lub może pragniesz? . . . zapytał leżącego stojący, może też wstaniesz ?... lub może podnieść cię ?... i t.d. Wszystkie zaś podobne przysługi na nic się już nieprzydadzą: Edwin umiera!

O straszna chwilo śmierci! Ucieka przed tobą i starzec srebrnowłosy, i w białym stroju dziewica; cała natura drży gdy nadchodzisz! My jednak, my, recenzenci *Moreny* czyli *Powieści Bladych* przez *Alexandra Tyszyńskiego* cieszymy się za twojém przybyciem! Stronnica na któréj czytamy opis śmierci Edwina, jest — przedostatnią *Zaprzańca!*

Dziwaczność charakterów i opisów téj pierwszéj powieści powtarza się w drugiéj — w *Prosperze.* Prospera jest to spowiedź leżącéj na łożu śmierci młodéj mężatki: jest to apoteoza całego stanu literatów. Prospera kochała się w wielkim jakimś poecie, Oskarze; kochała sie w nim, dlatego że był człowiekiem piszącym, a co większa drukującym: kiedy jéj jednak ojciec innego na męża przedstawia, bez namysłu prawie pod ojcowski poddaje się wybór. Moralność zasad Prospery równie jest zachwycająca: »Za miesiąc,« mówi do Oskara, »ta ręka związaną zapewne będzie; ale »ja — wolną! Oskarze! czy nas często odwiedzać bę»dziesz?« Za takie zeznanie czuły poeta największą okazuje wdzięczność, — późniéj jednak sam z drugą się żeni: Prospera dowiaduje się o okazywanéj przezeń wzgardzie, zaczyna »chrząkać, — w chrząknieniu uj»rzała krew« — i umiera!

Zymio, trzecia i ostatnia z kolei powieść w Morenie, jest to murzyn niewolnik w służbie jakiéjś młodéj kobiety, która się dla kaprysu w nim pokochała. Późniéj jednak, gdy się bogaty książe starał o rękę pani, wezwany Zymio do paradowania za jéj pojazdem, z żalu i miłości *detto* — umiera. Przy tém, niewiadomo dla czego, wtórują mu chmury i duchy nadziemskie, w guście następującym: »O serca!... O plemie!... O lepsze »nadziemie!... Lot wzbijmy!« i t. d. co zapewne ma stanowić stronę poetyczną, albo raczéj *Bajronowską* (!) powieści.

Kiedyśmy więc w taki sposób Edwinowi, Prosperze i Zymiowi ostatnią przyjacielską wyrządzili przysługę, i jedno po drugiém odprowadzili na miejsce wiecznego wypoczynku, zastanówmy się jeszcze cokolwiek nad ogólnym żywotem tych trzech istot, — uzupełnijmy, iż tak rzekę, ich nekrologi. Niepodobna nam przypuścić, aby autor chciał wydać na świat nieszczęśliwe tylko poronidła, — nie przypuszczamy przynajmniéj, iżby je wydał samochcący. Musiał on miéć w nich wyższe jakieś widoki i cele, — czy to pod względem pojęć o sztuce, czy téż pod względem moralnym. Co do pierwszych, jużeśmy mieli sposobność przytoczyć niektóre z owych szumnobrzmiących frazesów, których całą zasługą jest najdokładniejsza niezrozu-

miałość. Prawda, że w przedmowie autor Amerykanki w Polsce wyraźnie czytelnika uprzedza, iż jego powieści blade nie są zgodne ze smakiem i »wymaganiem współczesném«, — ale zapomniał uprzedzić, jakiego to czasu odpowiadają smakowi i wymaganiom? Myli się p. Tyszyński jeżeli sądzi, iż powieść historyczna jedynie publiczność dzisiejszą stale zająć potrafi: jest — to omyłka, do której wziętość Walter-eScotta licznych naśladowców od dawnego już czasu przywodzi. Lecz w obecnéj chwili powieści anatomiczne serca ludzkiego, jakiemi są dzieła *Balzaka*, obrazy charakterów, jakim jest sławiona Matylda *Eugeniusza Sue*, satyryczne przedstawienie dzisiéjszych zdrożności w literaturze, jakiém jest Münchhausen *Immermanna*, epopee za głównego bohatera cały naród mające, jakiemi są Szkice z tamtéj strony oceanu, wszystkie te arcydzieła sztuki co do myśli i do wykonania, równe w czytających znalazły upodobanie, jak poprzednio Kenilworthy i Walladmory. Gdyby więc rzeczywiście szło było autorowi tylko o określanie ludzi, nie *rzeczy*, nie byłby on jeszcze tém samém ubliżył ni smakowi, ani wymaganiom współczesnym; — tak zaś, niewiemy rzeczywiście sądził - li on że wiek i czas nasz przegoni? że sposobem intuicyjnym przeniknął w powieściach bladych potrzeby przyszłości? lub téż, zatrzymał—że się, w biegu, cofnął — że się do upłynionych epok *Boccacciów i Cervantesów*? Ni to ni owo: — autor powieści bladych chciał bydź oryginalnym.

Co się daléj tyczy strony moralnéj, sam wątek powieści dostatecznie wykazuje, że wyobrażenia o spółeczności, stosunki ludzkie, a nadewszystko pojęcia czysto etyczne w sposób zupełnie dziwny przez Autora przedstawiane bywają. Przytaczamy z tego względu definicję, jaką daje o kobietach Włoszkach, Niemkach i Polkach, z której to definicji łatwo się każda z czytelniczek naszych przekona, że płeć piękna kraju naszego w nie zbyt wielkiéj jest cenie u p. Tyszyńskiego.

»Kobiety wzdłuż i wszerz ziemi (ilem je poznał) »jedne są i mają uczucia wspólne, mają przecież i pe»wne odcienia tych uczuć. Weźmy np. jedno: — upo»dobanie w płci drugiéj, — kobiety kraju każdego wszy»stkie mają upodobanie w płci drugiéj więc grzeczność; »są jednak zbyt różne odcienia téj grzeczności. Weź»my np. kraj o którym wspomniałem, włoski, kraj »nam sąsiedni — Niemiec, i nasz. Każdy np. w tych »krajach pierwszy wchodzący gość (jeżeli miéjsce objawienia się myśli byłoby podobne temu o którem mó»wimy — otwartsze,) jest przedmiotem równie uprze»dzeń jak starań. Ale zródłem grzeczności kobie»ty Włoszki jest wprost *zalotność*, kobiety Niem»ki *gościnność*; Kobiety Polki; — *widok*. — Ten, «brzydki i natrętny mężczyzna co tu przychodzi, »jest to zapewne nader brzydki i natrętny męszczyzna, «zawsze jednak jest to mezczyzna, myśli kobieta Wło«szka. — Ten nieznośny, natrętny gość co się w tyle za«lotow wdaje jest to zapewne zbyt wstrętny i zbyt nie«znośny gość, zawsze jednak jest to gość, myśli kobie«ta Niemka. — Ten Pan co tu do nas przychodzi, ten «brzydki, nieznośny Pan, ponieważ tu do nas, nie zaś «gdzie indziéj przychodzi, ma zapewne nie nader zamo«żną kieszeń, zawsze jednak ma—kieszeń, myśli kobieta «Polka; i jest mu grzeczną.« —

Żadną dalszą uwagą nie będziemy niszczyć wrażenia takowéy djatryby.

Kiedy się na ostatek zwracamy do szaty w jaką oblókł swoje pomysły, to jest do stylu, niechaj nam wolno będzie przedewszystkiém zabawić czytelników naszych małą anegdotką, za której prawdziwość sumieniém zaręczyć możemy. W *Ost und West*, piśmie perjodyczném w Pradze wychodzącém, przed niejakim czasem znajdowała się wzmianka o główniéjszych literatach Warszawskich. P. Alexander Tyszyński figurował między niemi jako: »amerikanischer Schriftsteller in Polen» (Autor Amerykański w Polsce), — śmieszna i zabawna omyłka która powstała zapewne przez niedostateczną znajomość języka polskiego. Ale niechaj kto przeczyta powieści blade, i niechaj powie, że autor owego artykuliku, w swojéj naiwności wyrzekł nieprawdę. Jadąc po téj grudéj ziemi napstrzonych i ciągle się powtarzających wyrażeń, każdy łatwo się zdobędzie na podejrzenie, że Amerykanin chyba tylko tak pisać potrafi. Styl p. Tyszyńskiego tém jest dziwniejszy, ile że widoczne na sobie nosi ślady gęstych poprawek, ile że trudno niepoznać w nim pewnéj kokieterji, pewnéj wymuszoności, która przypuszczać nam każe, że nie powstał bez dobrego ze strony autora rozmysłu. Wszakże te kilka ustępów, któreśmy w ciągu niniéjszéj recenzji tu i owdzie przytoczyli, dostateczne już o stylu także powieści bladych dadzą wyobrażenie.

Zakończamy ten artykuł prawdziwemi słowami Kraszewskiego, wyjętemi ze *Studjów Literackich* tego znakomitego pisarza. »Krytyka» mówi na Str. 246, »dla poczynających winna bydź więcéj pobłażającą; *dla tych którzy już imie mają, surową, nieprzebłaganą*.»

F. H. L.